

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



№ 184.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa 4 Kwietnia, 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

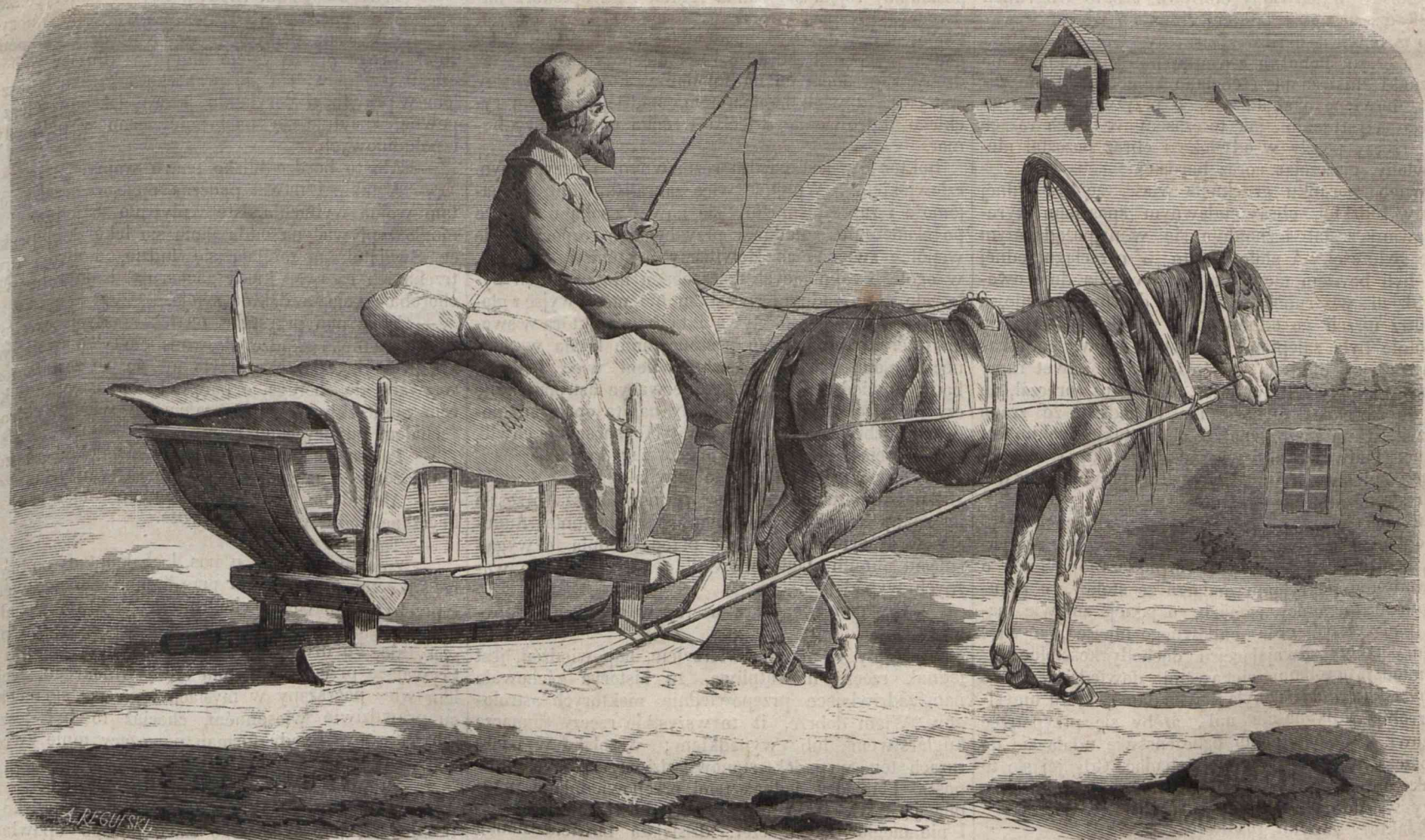
TOM VII.

TREŚĆ NUMERU.

Typy ukraińskie: Żyd kolonista (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Korrespondencye od redakcyi. — Zamek w Ostrogu (z pięcioma drzeworytami). — Franciszek Bielinski (dalszy ciąg). — Heraklesowe drogi (dokonczenie). — Szachy. — Rebus.

Ba—ale, co macie sobie wystawić? W tem właśnie sęk. Przeszłego tygodnia, kiedy pisałem te wyrazy, zdawało mi się że mi starczy myśli na cztery grube tomy; miałem mnóstwo rzeczy arcyciekawych do powiedzenia. A dziś... uciekły one wraz z przemijającym tygodniem i napróżnym gonit za nimi. Tak to bywa: dnie idą jeden za drugim, a niepodobne są

dzie, a przecież śmiać się musi, bo to rzecz ludzka. Ale... przypominam sobie, miałem wam pisać o Tyńcu. Czytaliście już o tem w gazetach. Nieprawda że dziwne zjawisko! Słupy płomienne wysokie na chłopca, przechodzące o 2giej w nocy gościńcem, od Tyńca przez jezioro w Kole, przez Wisłę ku Bielonom, Pogorzałom i Krakowowi. Mnóstwo lu-



TYPY UKRAIŃSKIE: ŻYD KOLONISTA. (Rysował z natury Przyszychowski).

Kronika tygodniowa.

Wracam tedy do przeszłotygodniowej kroniki, którą przerwałem dla braku miejsca. Wystawcie sobie....

wcale do siebie, a raczej usposobienie ludzi zmienia się w tych dniach. Bardzo mądrym był filozofem ten Petit Jean Rasyna, który wynalazł przysłowie, że kto się w piątek śmieje, ten w niedzielę płakać będzie. A z płaczącymi, to zapewne dzieje się naodwrot, tylko że dotąd nikt dnia tej zmiany nie oznaczył, i dlatego żaden płaczący nie wie kiedy się śmiać bę-

dzi widziało je i wszyscy o tem jednozgodnie świadczą. Ośmdziesięcioletnia staruszka rozchorowała się z przełknięcia. Byli tacy, co pakowali sprzęty i wynosili je z domu, a bytło pędzili do lasu. Więc przestrach był ogólny. I nie dziwić się prostemu ludowi, kiedy dla nas samych zjawisko to niepodobnym jest do pojęcia. Przed dwoma zdaje się tygo-

dniami ogłaszano także o świetle dziwnego kształtu i pozoru, które przez tydzień cały czepiało się z wieczora wieży kościelnej i ponad nią przez noc jaśniało. Miało to być podobno w Włocławku (nie pamiętam dobrze miejscowości). Donoszący o owym świetle odzywał się do uczonych, żeby powody tego zjawiska roztrząsnęli; ale dotychczas, o ile wiem, żaden z nich nie pośpieszył z naukowymi wywodami. Puscili to *per non sunt*, jak to uczynią może i ze słupami ognistymi, jak postępują sobie uczeni całego świata z wielu nadzwyczajnymi zjawiskami, którym wręcz zaprzeczyc nie można, a powodu ich jednak według zwykłych naukowych danych wytłumaczyć niepodobna. I nie mówię tego żebym chciał w czemkolwiek uwłaczać nauce; niech mnie Bóg chroni od takiego bluźnierstwa! Niebezpieczna to przeciwniczka, zwłaszcza kiedy się na własnym polu broni. Ale czyż dla akademij i instytutów naukowych nie byłoby stosowniej w wielu razach odezwać się owym znaniem wyrażeniem starożytnego mędrca: *nescio*, aniżeli przeczyć bezwarunkowo rzeczom nieraz oczywistym, lub odpychać najrzetelniejsze świadectwa, dlatego że się samemu czegoś nie widziało? Nie widziałem Konstantynopola, a więc nie wierzę w Konstantynopol. Kto twierdzić śmie, że Carogród istnieje? To czyży tylko wymysł podróżników.

I wiem z góry, że ci panowie, jeżeli zechcą, pobiją mnie elektrycznością, złudzeniami światła, jakimi bardzo uczonemi wywodami z fizyki lub chemii. W dzisiejszym wieku istnieją już tylko cuda wyrozumowane, powiedział akademik francuzki w krytyce historii cudowności pana Figuier, zarzucając znakomitemu autorowi, że się zanadto dał pociągnąć, a raczej obalamucić swojemu przedmiotowi. Mnie się jednak zdaje, że dla tych którzy wierzą w wszechmoc Istoty rządzącej światem, cuda nie wydadzą się rzeczą tak trudną do uwierzenia i wątpliwą, ażeby kto w takich razach znalazł stosowniejszą odpowiedź od proboszcza w Chodowcach.

A może nie znacie tej odpowiedzi, to opowiem wam ją.

W Chodowcach istnieje kościół, w którym znajduje się obraz cudowny, słynny na całą okolicę. Do obrazu tego lud z sąsiedztwa i z dalszych nawet stron odbywa doroczne pielgrzymki, i wówczas z wielką uroczystością wystawiany on bywa. Jest to wizerunek Boga Rodzicy, z dzieciątkiem Jezus na ręku.

Obraz ten jest bardzo starożytny i nie oszczędziła go ręka czasu. Pobożni z wielką boleścią widzieli na nim znaki zniszczenia i chciało koniecznie temu zaradzić; mówiono o składkach, o przyzwaniu jakiego zdolnego artysty; ale jak to czasem w takich razach bywa, rzeczy poszły w odwłokę i obraz pozostał nieodnowiony, niszczejąc coraz bardziej.

Pewnego poranku gruchnęła wieść, że bez żadnej pomocy ludzkiej, obraz cudownym sposobem wyrestaurowany został i znajduje się w najpożądniejszym stanie świeżości. A stało się to w przeciągu jednej nocy, byli bowiem tacy, którzy w wigilię dnia owego widzieli wizerunek święty w dawnym stanie, a nazajutrz ujrzeli go odnowionym zupełnie. Pęknięcia w płótnie były zalepione, wszystkie barwy odzyskały dawno już minioną świeżość, same nawet ramy przybrały zupełnie inny pozór. Proboszcz zaręczał, że nikt do kościoła w nocy nie wchodził i że zrana przyszedłszy na mszę, znalazł obraz takim, jakim jest obecnie. Podwoiły się więc pielgrzymki, i tacy co dawniej ani słyszeli nawet o obrazie, przybywali z dalekich stron, ażeby go zobaczyć.

Lud wierzył *cudowi*, ale *oswieceńsi* ani chcieli słyszeć o tém. Ciągnięto protokóły z proboszcza, z organisty, z dziada kościelnego, rozpuszczano wieści o sprowadzeniu pokryjomy malarza ze stolicy, o zakupionych w tajemnicy ramach, o jakiejś znowie mającej podwyższyć urok cudownego miejsca, a więc z natury rzeczy zdwajającej i dochody kościelne.

Pomiędzy osobami ciekawymi dowiedzieć się o *rzeczywistej prawdzie*, była pewna dama, która umyślnie zrobiła kilkanaście mil, ażeby się przypatrzeć obrazowi. Po skończonym nabożeństwie udała się do proboszcza, ażeby go zręcznie wybadać. Gdy jej się to jednak nie powiedlo, zadała mu wręcz pytanie czy wierzy w cuda.

— Jakto? zapytał proboszcz.

— Naturalnie, odpowiedziała dama, w cuda które za widocznym przychyleniem się Boskiemu dzieją się na świecie. Naprzykład co do tutejszego obrazu; czy podobna ażeby bez żadnego zewnętrznego współdziałania odnowiony został? Chciałabym wierzyć, ale wyznaję że mi się to wydaje bardzo dziwnem, bo w obecnym czasie wypadki tego rodzaju już się nie wydarzają.

— Czy pani wierzysz, zapytał ksiądz proboszcz, że Pan Bóg stworzył świat z niczego?

— Naturalnie że wierzę, odpowiedziała dama.

— A więc, odpowiedział proboszcz, jeżeli nie dziwisz się temu, że Bóg z niczego świat stworzył, niechże też dziwnem ci się nie wydaje, że bez pomocy malarza dopuścił odnowienia cudownego obrazu w Chodowcach.

I dama odjechała przekonana.

Co do mnie, nie potrzebuję być przekonywanym, bo wierzę. Wierzę że chociaż Vaucanson utworzył kwaczącą i trawiającą kaczkę, która do najdoskonalszego złudzenia wszystkie ruchy ptaków tego gatunku naśladowała; że chociaż baron Kempelen wystawił nie wiem jakim już sposobem automat grający w szachy i wygrywający najzawilsze partye, to żadnemu z najznakomitszych uczonych, przy największym postępie nauki, nie uda się utworzyć żdźbła trawy żyjącej, takiego jakim wyszło ono z Wszchemocnej ręki Bożej.

Wystaw sobie mój przestach, pisze do mnie jeden ze znajomych z prowincyi, w nocy dziecko mi zachorowało. Jakaś gorączka, ból gardła, słowem wiadomo co. Jakkolwiek posiadamy naszą domową apteczkę, nie chciałem sam rozporządzać się, bo z dziećmi to zawsze niebezpiecznie, a zwłaszcza kiedy nie umiemy zdać sobie sprawy z ich choroby. Najbliższe odemnie miasteczko jest o trzy mile i tam mieszka doktor. Tego doktora znaleźmy tylko z nazwiska, chwalono go dość, postanowiliśmy więc posłać po niego.

Nazajutrz z rana zjawia się bryczka, a na niej doktor. Ale nie sam. Na kozle od bryczki siedział Żyd z ogromną dubeltową perspektywą teatralną w rękę, którą ciągle przykładał do oczów. Doktor zaś sam miał na futrze w które był owinięty, zawieszoną przez plecy w kształt torby myśliwskiej długą lunetę w skórzanym futerale.

Zdziwił mnie wprawdzie ten cały przybór, ale nie miałem czasu rozpytywać się, bo byłem niespokojny o dziecko. Bryczkę więc odesłałem do stajni, Żyda z lornetką kazałem w kuchni ugościć, a doktora wzięłem z sobą do pokoju.

Obejrzał dziecko i uspokoił mnie i żonę, że to drobna jakaś przypadłość, która wkrótce przejdzie. Zapiisał natychmiast bardzo proste lekarstwo, którego przyrządzeniem z materiałów jakie we własnej apteczce posiadamy zajęła się panna Agata, nasz aptekarz nadworny, pełniąc interymalnie obowiązki gospodyni. Ponieważ zaś doktor w nocy wyjechał od siebie, kilka godzin przepędził w drodze i był mocno znużony i zgłodzony, zaprosiłem go na śniadanie, które zaczęliśmy spożywać z wielkim apetytem, nadzieja bowiem rychłego ozdrowienia dziecka wróciła nam dobry humor.

Doktor ów jest bardzo rozmownym i przyjemnym człowiekiem. Wprędce więc zabraliśmy bliższą znajomość i zaprzyjaźniliśmy się nawet z sobą o tyle, że po skończeniu śniadania przy cygarze rozpoczęły się wspólne zwierzenia. Mówiliśmy o tém i o owém, w ogóle o zajmujących rzeczach, a nie brak ich było; ale mnie żadnym sposobem nie mógł wyjść z głowy ów Żyd z perspektywą i tą lunetą, która w swoim futerale w wielkiem poszanowaniu leżała w gabinecie moim na sofie. Postanowiłem więc, bądź co bądź, dowiedzieć się, jakie obserwacje astronomiczne czy nieastronomiczne wpływały na te optyczne podróże uzbrojenia, i czekałem tylko sposobnej chwili, żeby gościa mojego w tej mierze zagadnąć.

Nareszcie nadarzyła się ta chwila.

Z przedmiotu na przedmiot, rozmowa nasza przeszła na znany horoskop postawiony dla Zygmunta Augusta, w którym znajduje się przepowiednia o wygaśnięciu rodziny Jagiellonów i o innych jeszcze ważnych wypadkach.

— Czy pan konsyliarz wierzy w astrologię? zapytałem.

— Nigdy w nią nie wierzyłem, odpowiedział, jest jednak rzeczą niewątpliwą, że historia zachowała nam zadziwiające przepowiednie niektórych astrologów. Wiem dobrze, iż te wszystkie rzeczy tłumaczą kuglarstwem lub wypadkiem; wszelako w wielu razach ten wypadek stanowił dziwny zbieg okoliczności. Pomiędzy jednak temi przepowiedniami przemagająca większość jest bezwarunkowo fałszywych... I nie mogło być inaczej, dzisiejsza bowiem nauka wyrzekła bezwarunkowo, a przeciwko jej wyrokowi niema odwołania, że astrologia była tylko złudzeniem na wielką skalę, w które czasem nawet poważne umysły wpadały. Często zaś astrologowie byli prostymi tylko oszukaniami, starającymi się wyludzić pieniądze możnych przez swoje bałamuctwo.

— Ale w każdym razie, odrzekłem, tak jak alchemia wpłynęła przeważnie na rozwinięcie chemii, która obecnie główną jest podporą sztuki lekarskiej, tak samo astrologia dopomogła znakomicie do postępu as-

tronomii, tacy bowiem nawet uczeni jak Tycho-Brahe i Keppler zajmowali się nią. Ale pan konsyliarz więcej niżli kto inny obeznany jesteś zapewne z temi rzeczami, bo o ile sądzę, zajmujesz się sam gorliwie nauką astronomii.

— Ja?

— A tak.

— Zkąd pan wyprowadzasz ten wniosek?

— Z bardzo naturalnych powodów, kiedy nawet w drodze, jadąc do chorego, nie zaniedbujesz pan czytać obserwacji astronomicznych.

— Ale któż panu mógł dać tak błędne o mnie wyobrażenie? Wierzą mi pan, sztuka lekarska ze wszystkim co do niej należy tyle jest obszerną i trudną, że zaledwie wszystkich chwil życia człowieka starczy na zajmowanie się nią i doskonalenie się w niej ciągle, nie dopiero żeby do niej dodawać naukę równie trudną i pochłaniającą wszystkie zdolności.

— Ale wszakżeż oczywistości trudno zaprzeczyć?

— Jakto?

— Przecież sam widziałem, jak pan konsyliarz przywiozłeś z sobą wielką lunetę, którą z taką starannością złożyłeś u mnie na sofie, a nawet widzę że do swoich obserwacji wybrałeś sobie pomocnika, chociaż ten wybór ze wszech miar dziwnym mi się zdaje. Jakże bowiem mam sądzić o tym starozakonnym z perspektywą, który obecnie w kuchni mojej wkłada zapewne prelekye fernalom i ratajom?

Doktor począł się śmiać serdecznie.

— A... więc po tém pan sądzisz, rzekł nareszcie. Ale mogę pana upewnić, że to wszystko żadnej a żadnej nie ma styczności z astronomią.

— Jakto?

— A tak... bardzo naturalnie. Żyda tego wszędzie wozem z sobą i jest on moim nieodstępnym towarzyszem podróży. Co się zaś tyczy owęj lunety i perspektywy, są one mi równie jak Żydów, a może więcej aniżeli on, potrzebne i nigdy nie rozłączam się z niemi.

— I czy nie mógłbyś mi pan wytłumaczyć znaczenia tej zagadki?

— Bardzo łatwo, jeżeli pan zechcesz poświęcić parę chwil cierpliwości na wysłuchanie mojego opowiadania.

— Słucham z najwyższem zajęciem.

— Tedy zaczynam. Kiedym był w Ameryce....

— Więc pan konsyliarz podróżowałeś po Ameryce?

— Tak jest... podróżowałem. Któż dziś nie podróżuje? Nawet przebywałem tam przez dłuższy przeciąg czasu i zajmowałem się praktyką lekarską. Mieszkałem w prowincyi Marylandu, która, jak pan wieś zapewne, znajduje się na granicy stanów północnych i południowych.

— Ale to bardzo blisko teatru wojny.

— A tak... i nawet podczas mojego przebywania tam wojna wybuchła. Nie wpływało to jednak i nie mogło wpływać na oddawanie się lekarskiej praktyce. Swoją drogą zabijają się ludzie, a swoją drogą trzeba ich ratować kiedy zachorują. Kula robi swoje, choroba swoje, a doktor swoje.

— Więc pan przystał na lekarza wojskowego?

— Ale nie... zkadże? Prowadziłem tylko swoją zwykłą praktykę. Owóż zdarzyło mi się, że zostałem zawezwany do chorego, o parę mil od miasteczka w którym zamieszkiwałem. Wybrałem się więc w drogę. Jechałem na bryce odkrytej....

— Patrzącie państwo! A mnie się dotychczas zdawało, że w Ameryce bryczki nie są w użyciu.

— Ale gdzież tam? Właśnie tam najczęściej na bryczkach odbywają się podróże.

— Tak jak u nas?

— Zupełnie tak jak u nas. Jechałem tedy na bryczce odkrytej, pogoda była przesliczna, słońce świeciło i przebywałem cudną okolicę. Droga którą jechałem szła brzegiem rzeczki, wężowato kręcącej się po płaszczynie. Po drugiej stronie rzeczki były pagórki zakrywające przedemną tamtą część widokregu. Jechałem więc pograżony w myślach i grzejąc się na słońcu prawdziwie wiosennem, chociaż to był jeszcze schyłek zimy,—kiedy furman powożący mnie zwrócił moję uwagę na dziwne zjawisko.

— Ta Ameryka, to prawdziwy kraj zjawisk.

— Niewątpliwie; chociaż tym razem zjawisko owo, jak się pan z dalszego ciągu mojego opowiadania przekonasz, nie jednej tylko Ameryce szczególnie właściwem było. W rzeczce ponad którą jechałszy, co chwila plusk się jakiś odzywał. Woda kotłowała się trochę, miejscami robiły się na niej bomble i kręgi, jakby coś w nią wpadało, i powtarzało się to co chwila w różnych miejscach. Jak powiedziałem, pogoda była przesliczna, żadnej chmurki na niebie; ani więc deszczem, ani gradem nie można sobie było tego kotłowania wody wytłumaczyć. Myślałem tedy: może ryby wyprawiają sobie bal, i tańcząc pod wo-

da, czynią to całe wzburzenie. Wolno rybom tańczyć, bo chociaż pora karnawału już minęła, nie pilnują one się zapewne tak bardzo ściśle zasad przyzwyczajenia. Ale jadąc dalej przekonałem się, że nie tylko na wodzie ten fenomen ma miejsce. Bryczka jechała po drodze piaszczystej i zauważyłem że piasek tak samo jak i woda popadł w jakąś manię ruchu, bo co chwila naokoło bryczki powstawało trochę kurzu, zaryło się coś w piasku i potem znowu nic. Myślałem nad tem przez chwilę, ale wreszcie powiedziałem sobie, że niema o czem myśleć: tyle różnych zjawisk bywa na Bożym świecie, a zwłaszcza, jak pan bardzo słusznie powiedziałeś, w Ameryce, iż ażeby za nimi śledzić, trzeba by mieć chyba zawiele czasu, a mnie było pilno do mojego chorego. Dojeżdżam wreszcie do miasteczka w którym on mieszkał i zastaję tam mnóstwo ludzi zgromadzonych na rynku. Oglądają z ciekawością moją bryczkę i mnie, i rozprawiają coś pocichu między sobą. Nie mogłem pojąć powodu tej ciekawości, więc pytam się kolonistę, który najbliżej mnie stał, co oni upatrują tak zajmującego we mnie i furmanie moim, że się nam jak rorogom przyglądają?

— Zkąd pan jedziesz? zapytał kolonista.

— Z miasteczka N.

— A którądy pan jechałeś?

— Droga ponad rzeczką.

— A no, więc pan jechałeś koło samego placu boju.

— Jakto? zawołałem podskakując na siedzeniu.

— Naturalnie, odpowiedział drugi, tam się biją już od kilku godzin i dziwi mnie żeś pan strzałów nie słyszał, a tém bardziej, że pan cało tu dojechałeś.

Widocznie owe wzgórki po drugiej stronie rzeczki i wiatr wiejący ze strony przeciwniej, przeszkodziły odgłosowi strzałów dobiec do mnie, ale nie przeszkodziły widać sztuccowym kulom, tak daleko sięgającym, koło mnie padać, bo teraz domyśliłem się z niemałym retrospekcyjnym przestachem, że te ryby pluskające w rzece i te kamienie rozrywające piasek, były to wszystko kule tak zwane stracone (*balles perdues*), które naokoło mnie meldowały swoje obecność. I prawdziwe błogosławieństwo Boże, że zdrow i cały przyjechałem. Od tego czasu, dodał doktor, nie wybieram się nigdy w drogę bez lunety.

A powiedziawszy to, pożegnał się ze mną, przywołał z kuchni Chaima, siadł na bryczkę nie zapomniawszy o lunecie, Chaim z perspektywą umieszczył się na kozłach i ruszyli w drogę.

PRZEGLĄD

POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

3 kwietnia.

Życzenia Greków spełnione zostały nareszcie. Morning Post w dniu 28 marca silnie przemawiał za kandydaturą księcia Wilhelma duńskiego, obiecując Grekom, w razie przyjęcia tego księcia, stanowczo przyłączenie wysp jońskich, a despesza z Aten z dnia 30 z. m. zawiadamia już, że zgromadzenie narodowe jednomyślnie obrało królem księcia holsztyńsko-glücksburgskiego. Młody ten książę, szwagier księcia następcy tronu angielskiego i ks. następcy tronu pruskiego, wstąpi na tron pod imieniem Jerzego I. Nowy król grecki liczy dopiero lat osiemnaście, zdaje się więc że regencya ustanowiona zostanie.

Według Monitora francuzkiego z d. 20 z. m., wojnę z Annamitami uważać można za skończoną. Pobić na wszystkich punktach, Annamici ustąpili z pola bitew i fortec, a Francuzi wrócili do swych kwater. Pogłoski o wzięciu Puebli, a nawet samego Meksyku, nie sprawdziły się dotąd; przedwstępny ruch wyborczy we Francji wzmaga się z dniem każdym. Wszelkie nieporozumienia w obozie opozycji znikły zupełnie, tak daleko, że pp. Damiron, Favre, Olivier i Picard zapewniono utrzymanie mandatu. Na posiedzeniu ciała prawodawczego, opozycja wystąpiła przeciw prawu o kontyngensie armii, ale bezskutecznie. Liczba 400,000 nowozaciecznych przyjęta została, według wniosku rządowego. Wieści o dymissji p. A. Fould nie mają urzędowej podstawy.

Obowiązki ministra spraw zagranicznych w Turynie, w zastępstwie p. Pussolini, powierzone zostały p. Visconti-Venosta, niegdyś kommissarzowi królewskiemu przydanemu do korpusu Garibaldeggo w 1859 r. W r. 1860 Visconti został członkiem komitetu administracyjnego przy ministerstwie spraw zagranicznych

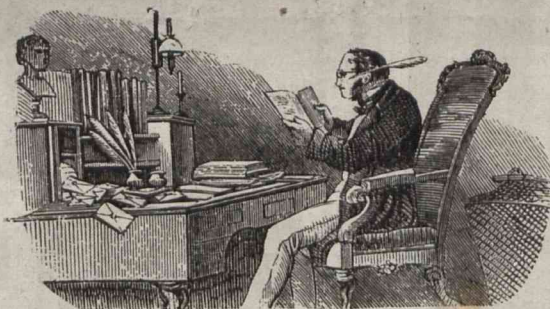
i towarzyszem p. Farini w Neapolu. P. de Sartiges, poseł francuzki przy dworze włoskim, ma być odwołanym.

Przed kilku dniami wszystkie sejmy prowincjonalne monarchii austriackiej zamknięte zostały. Oczekują dekretu zwołującego radę państwa. Z tem wszystkim charakter tej rady w niczem się nie zmienił, rząd bowiem nie dotąd nie postanowił w przedmiocie zwołania sejmów chorwackiego, węgierskiego i siedmiogrodzkiego. Dopóki rząd austriacki nie porozumie się z Węgrami co do sposobów traktowania spraw ogółu monarchii dotyczących, rada państwa uważać się może za ścięsnioną. Ost D. Post. donosi o ministeryalnym przesileniu, jakie trwa w Wiedniu z powodu sprawy węgierskiej. Hr. Forgacz, kanclerz węgierski, ułożył program pojednawczy, który nie zadowolili ani ministrów niemieckich obstarających przy konstytucji lutowej, ani Węgrów żądających praw z 1848 r. Mówiono że przesilenie to zakończy się dymissją p. Forgacza; tymczasem ostatnie wiadomości z Wiednia głoszą że, p. p. Szmerling i Forgacz pozostaną na swych miejscach, poświęconym zaś zostanie sędzia kurialny hr. Apponyi, który otrzymuje uwolnienie od swych obowiązków. O zwołaniu sejmów siedmiogrodzkiego dotąd nie pewnego.

Według Patrie, rząd egipski odkrył w Kairze spisek na życie wice-króla. Wypadek ten nie zakłócił spokojności Egiptu, nastęrczył tylko mieszkańcom nową sposobność wyrażenia swych uczuć dla światłego wice-króla, szczerzego zwolennika cywilizacji europejskiej.

Na posiedzeniu kommissji wojskowej w d. 27 z. m. w Berlinie, złożono piśmienne oświadczenie gabinetu, stanowczo odrzucające projekt sławnej dwuletniej służby, z tej głównie przyczyny, że „według technicznych spostrzeżeń ministerium, oraz doświadczenia wszystkich krajów, skrócony w taki sposób czas służby, szkodzi dzielności i karności armii.“ Sejm berliński odroczył się od d. 28 marca do d. 8 kwietnia. P. Edgar Bauer skazany został na trzy miesiące więzienia, za artykuł umieszczony w dzienniku Preuss. Volksblatt. W d. 29 z. m. zawartą została w Berlinie konwencya z Belgią, w przedmiocie udziału Pruss w odkupieniu cel na Szeldzie, oraz handlu żegluga i własności literackiej.

(Ind. Bel. Patrie. Schles. Ztg. Jour. des Deb. Constit.)



Panu J. T. w Głogowie. Książeczka o której pan wspomina dobrze jest nam znana. *Rimembranza* znaczy: wspomnienie, przypomnienie.

Panu S. Z. z Podola. Za trzy nadesłane wiérse uprzejmie dziękujemy; wkrótce zrobimy z nich użytek. Otrzymałe dawniej przysłowie zostawiamy do czasu późniejszego.

Panu K. R. z ulicy Tamki. Pomimo najszczerzej chęci, w tej chwili żadnego zajęcia dać panu nie możemy. Chcielibyśmy jednak zgłosić się do redakcyi naszej około połowy bieżącego miesiąca.

Panu E. K. w Poznaniu. Artykuły poprzednio napisane, wszystkie kolejno ukażą się w druku; podobnie korespondencya. O życiorys ks. Albrechta, oraz o ryciny wnętrza i zewnętrzna kościoła farnego w Poznaniu, uprzejmie prosimy.

Panu S. M. z Płońska. Z dwóch przesłanych nam zadań szachowych, samomat podajemy w dzisiejszym numerze. Końcówka druga jest fałszywa; mat bowiem następuje zaraz za 1^{em} posunięciem wieży z H 3 na F 3.

Panu A. P. z M. Z nadesłanych rebusów niektóre w czasie właściwym zostaną użyte. Kładzenie podpisów pod rebusami uważamy za niewłaściwe. Poezji żadnych poprzednio nie odebraliśmy.

Panu Wł. D. w Krzywonosiu. Przerysowanie wizerunku Czechowicza zleciliśmy już jednemu z tutejszych artystów; inne życzenia pańskie zachowamy w pamięci. Spełnienia obietnicy osobistego widzenia się z nami, z niecierpliwością wyglądamy.

Panu St. Mor. Myśl i znaczenie wirsza p. n. *On i*, trudno zrozumieć.

DO REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Umieszczony w N. 134 Tygodnika Ilustrowanego opis i rysunek zwalisk zamku ostrogskiego, jest podług mnie niezupełnym, a co się tyczy samych zwalisk zamku w Tygodniku przedstawionych, zaszła pomyłka.

Mając kilka rysunków własną ręką zdjętych z natury w r. 1859, a zarazem i wyciąg z archiwum biblioteki, która dziś znajduje się w posiadaniu teraźniejszego właściciela, księcia Artura Jabłonowskiego, przystępuję do sprostowania pomienionej pomyłki.

Zwaliska w Tygodniku Illustr. wyobrażone, nie są właściwie zwaliskami zamku, lecz są to ruiny cerkwi znajdującej się w obrębie murów składających niegdyś zamek, która stoi na wysokiej górze, otoczonej głęboką fossą. Dawniej zamek, cerkiew i baszta stanowiły jedność; dziś niema śladu jakim kształtem zamek był zbudowany i jak wyglądały otaczające go mury.

Z rysunków moich N. 1szy przedstawia od strony zachodniej trzy ruiny, które niegdyś stanowiły całość. Gmach pod lit. a, gdzie dziś mieści się sąd powiatowy i archiwa, był zapewne częścią mieszkalną zamku; ruiny pod lit. b, wyobrazają cerkiew (dziś jedna z wież nawpół zawałona), a lit. c, basztę należącą do zamku.

Rysunek N. 2gi przedstawia też same ruiny cerkwi, od strony wschodniej. Przytoczyć tu muszę, że na całej górze około zwalisk niema żadnych drzew, (jak wyobrażono na rysunku Tygodnika), prócz na załomach zewnątrz i wewnątrz murów, gdzie dają się widzieć krzewy tarniny i głogu. Chociaż to rzecz niewielkiej wagi, lecz zmienia widok.

Rysunek N. 3ci przedstawia basztę też samą co na rysunku N. 1szy, tylko od strony wschodniej. Na wierzchu tej baszty są wyrobione z kamienia figury w kształcie tarcz w rozmaitych formach, które zdaleka przedstawiają się jak gdyby gród fantastyczny; po lewej stronie w oddaleniu widać kościół farny.

Rysunek N. 4ty przedstawia klasztor ks. karmelitów, murowany z cegły; brama zaś prowadząca do klasztoru po prawej stronie ryciny, jest cała z granitu, ozdobiona w płaskorzeźby z herbami. Dziś te ruiny nie istnieją; zakupione bowiem za nader niską cenę, przez nabywcę rozebrane zostały.

Rysunek N. 5ty przedstawia basztę od strony zachodniej, na Krasnej-górze zwaną; zbudowana nadzwyczaj mocno, przetrwałaby wieki, gdyby nie usuwanie się góry, spowodowane corocznie na wiosnę potokami wody z topniejącego śniegu. W tych obrywach widać mnóstwo sterczących ludzkich kości, a czaszki potokiem wody wyrwane, wałają się u stóp wału. Z góry tej piękny widok uderza oko: połowa miasta, z ogrodami i wzgórzami, na których stoją domy, w około małowicznie wzgórze i bory, a bystra Wilejka bieży jak taśma srebrzysta.

Miasto to zbudowane jest na kilku wzgórzach, w wielu miejscach poprzerzynanych dla przeprowadzenia ulic. Kiedyś zapewne były one połączone wałami i ufortyfikowane.

Góra zamkowa może mieć wysokości stóp 64, ruiny zaś cerkwi, to jest ściany tylko do pierwszego załomu, mieć mogą 36 stóp wysokości. Z tej góry jest widok na wschodnią część miasta od Horynia, który płynie w pobliżu, i na Wilię. Wysokość innych gór trudno oznaczyć, gdyż są w wielu miejscach przekształcone i ręką czasu poobrywane.

Dawniejszemi czasy musiały być zapewne dalej przedłużone fortyfikacye, ponieważ widzieć je można w południowo-wschodniej stronie części Ostroga, gdzie dziś znajduje się osada Międzyrzecz. Tam na miejscu wyniosłem wybudowany jest klasztor ks. franciszkanów, otoczony wałem, gdzie Wilija obejmuje go dwoma korytami, z których jedno zapewne umyślnie było kopane. Około klasztoru są jeszcze ruiny kilku baszt, a klasztor do dziś dnia istnieje. Przed kilku laty zniszczony pożarem, wkrótce został odnowiony.

Rysunku kollegium jezuickiego załuję że przesłać nie mogę, ponieważ kilka lat temu pan K., wraz z rysunkiem złotej bramy w Kijowie i pomnika s. p. Łazińskiego, znajdującego się na cmentarzu ostrogskim, posłał go p. Kraszewskiemu, kiedy ten był kuratorem w Żytomierzu.

Rysunków kościołów kapucyńskiego, farnego i franciszkańskiego nie mam zrobionych, a teraz dość daleko mieszkam od Ostroga, przeto zrobić mi ich niepodobna. Wyciąg z dokumentów załączam.

Ośmielona odezwą szanownej redakcyi do czytelników, szczerzebym pragnęła choć jedną cegielką przysłużyć się jej piśmu. Zatem, lubo styl mego artykułu nie jest wyszukany, a rysunki nie mogą iść w porównanie z innymi artystycznymi utworami, śmiem ofiarować redakcyi tę moją pracę, która jeżeli przyjęta będzie, poczytam to sobie za prawdziwą przyjemność.

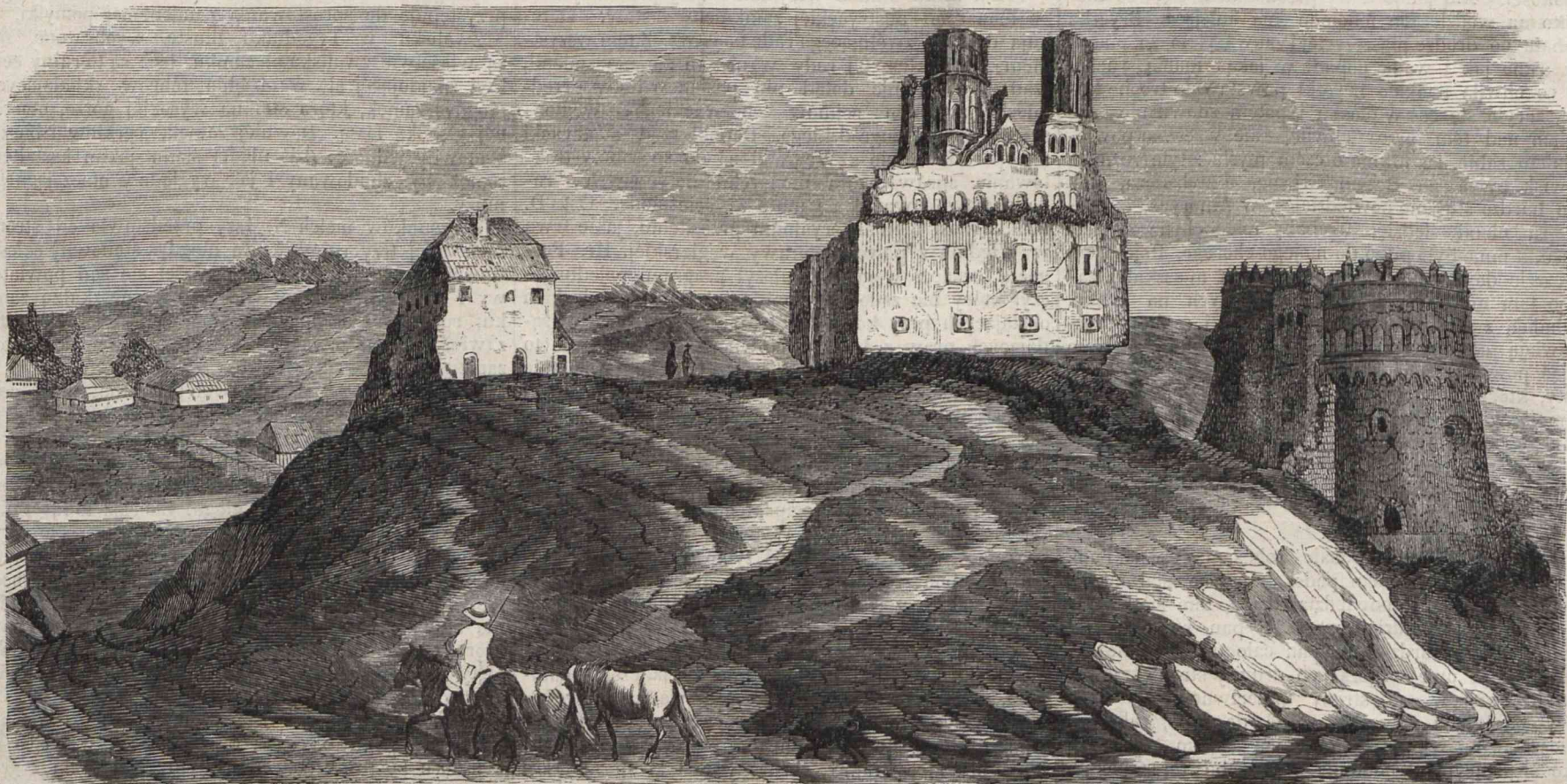
OPIS.

1. Zamek. Pierwszą wzmiankę o Ostrogu, mieście

z zamkiem na Wołyniu, przy ujściu Wili do Horynia, napotykamy w kronice Nestora przed rokiem 4400, kiedy ks. ruscy, zebrani w Wietyczach (około

skiemu (około 1343—1349 roku) budowlę pierwszych murów fortyfikacyjnych ostrogskiego zamku, które znacznie rozszerzył, wzmocnił i ozdobił ks. Bazyl Fe-

3. Kościół farny i dziś istniejący. Pierwotnie była to grecka cerkiew Matki Boskiej, którą w roku 1442 ks. Fedor Danielowicz Ostrogski oddał dominikanom



Lit. a.

ZAMEK W OSTROGU N. 1.

Lit. b.

Lit. c.

Kijowa), uczyniwszy nowy podział swych krajów, Ostrog przeznaczili na dzielnicę ks. Dawidowi Igo-

dorowicz Ostrogski około r. 1448.

2. Cerkiew zamkowa, pod nazwiskiem Bohojawle-

na kościół katolicki, za wstawieniem się Izydora metropolity kijowskiego, kardynała, który na soborze flo-



ZAMEK W OSTROGU N. 2.

rowiczowi. Nie mamy podania w jakim stanie znajdował się wówczas zamek ostrogski. Niektórzy historycy przypisują ks. Danielowi Wasylewiczowi Ostrog-

nia, to jest zjawienia się Pańskiego na Jordanie, fundowana przez ks. Bazylego Fedorowicza Ostrogskiego 1448 r.

renckim przystąpił do unii z kościołem katolickim. Nadanie to księcia Fedora zatwierdził król Zygmunt I w roku 1544. Około 1452 r. Tatarzy rzeźbony ko-

ściół zburzyli, i dominikanie zmuszeni byli go opuścić; dopiero w r. 1582 książę Wasyl Konstantynowicz Ostrogski wojewoda kijowski, podniósł go z ruiny i oddał księgom świeckim, w których zarządzie zostaje dotąd. (*)

4. *Kollegium jezuickie* fundowała Anna Aloiza z ks. Ostrogskich, małżonka Jana Karola Chodkiewicza wojewody wileńskiego, hetmana wielkiego litewskiego. Roku 1624 pierwszy kamień na rzeczony kollegium położył Wilhelm Franciszek Zajerski, infułat ołycki. Chodkiewiczowa rzuciła wtedy garść złota pod fundamenta i rzekła: — „Obym mogła wystawić Bogu ze złota kościół tak wielki, by cały świat zajmował.“ Przytomny kapłan odpowiedział jej na to: „Maluczkie serce człowieka, jest najmiłszym Bogu kościołem.“

W r. 1648 zbuntowani Kozacy, pod przewodnictwem Chmielnickiego, pomienione kollegium zrabowali i spalili, poczem Chodkiewiczowa znowu je odbudowała. W r. 1660 ciż Kozacy kościół złupili i zamordowali przełożonego jezuitów Melchiora Małachowskiego. Kollegium podobno wówczas zrestaurowane było z funduszów jezuickich, gdyż Chodkiewiczowa już nie żyła. W kościele jezuickim w sklepach złożone są ciała Jana Chodkiewicza i żony jego Anny Aloizy.

utrzymywali tu szkoły do roku 1793. W roku 1795 kollegium to przeznaczono na rezydencją wołyńskiego prawosławnego biskupa, z konsystorzem i duchownym seminaryum. W roku 1821 pomienione kollegium, zniszczone pożarem, opustoszało zupełnie i dziś

rzal, karmelici przenieśli się do Horodyszcz (około Zaslawia), a kościół opustoszał.

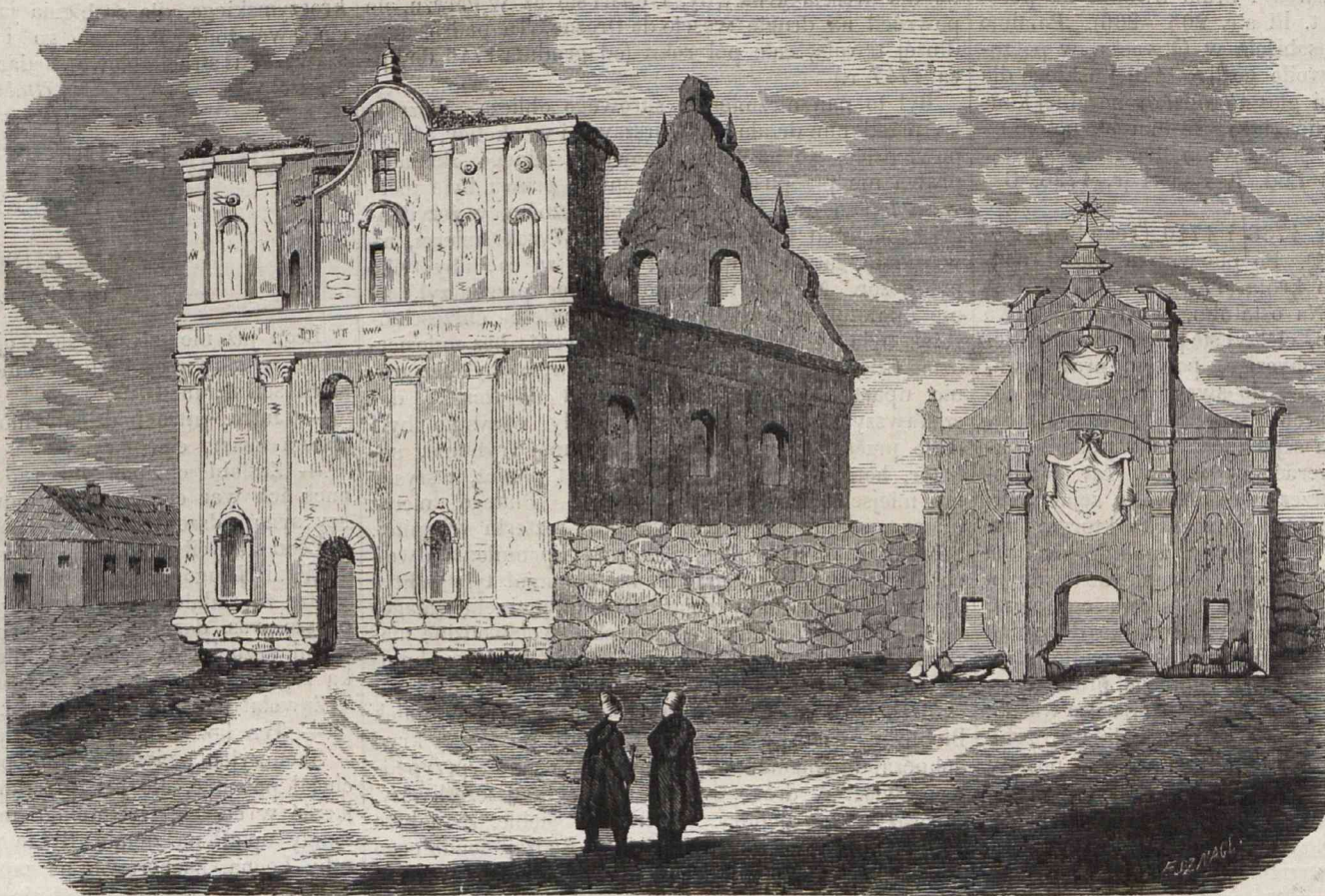
6. *Kościół kapucyński*. Książę Janusz Sanguszko, ostatni ordynat ostrogski, 1750 r. dnia 3 kwietnia dał dokument oblatowany w ziemskich ostrogskich aktach 1816 r. dnia 11 lipca, na plac dla wymurowania klasztoru ks. kapucynów. Murzy wzniesiono kosztem Malińskich i Łubawskich. Roku 1832 klasztor ten został skasowany, a zakonnicy przeszli do Konstantynowa.

7. *Kościół franciszkański* w Międzyrzeczu fundował w r. 1606 ks. Janusz Ostrogski kasztelan krakowski; ukończony w r. 1609. Cudowny obraz N. Panny, za pozwoleniem stolicy apostołskiej, koronował biskup Franciszek Komornicki sufragan łucki 15 sierpnia 1779 roku.

W drukarni słowiańskiej, założonej w Ostrogu przez księcia Konstantego Ostrogskiego, wojewodę kijowskiego r. 1580, drukowano najprzód nowy testament (kirylicą), a w r. 1584 całkowitą biblią.

Drukarnię ksiąg hebrajskich, niewiadomo kiedy założoną, zamknięto z woli rządu około 1834 roku.

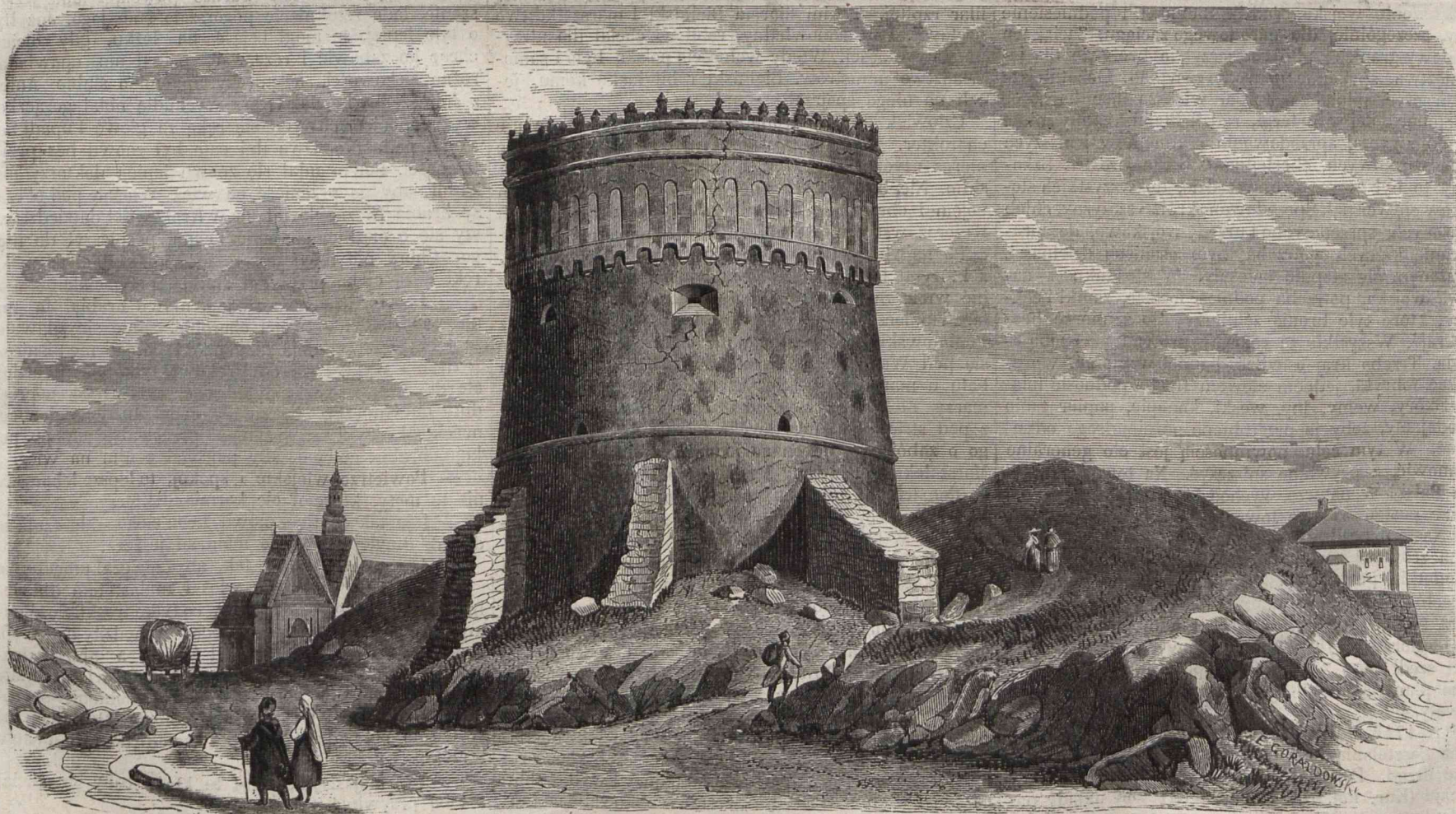
Równocześnie z drukarnią słowiańską, założone zostały w Ostrogu przez tegoż ks. Konstantego Ostrogskiego szkoły, mianowicie dla wykładu języków łacińskiego, greckiego i słowiańskiego, pod naczelnic-



ZAMEK W OSTROGU N. 4.

znajduje się w ruinie.

5. *Kościół karmelicki*, pierwotnie grecka cerkiew unicka, za pozwoleniem Jeremiasza Poczapowskiego biskupa łuckiego, unity, przekształcona na kościół przez Annę Aloizę Chodkiewiczową. Przy tej świątyni dobudowano klasztor, dla pomieszczenia konwiktu



ZAMEK W OSTROGU N. 3.

Po kassacie jezuitów w roku 1773, kollegium ich w Ostrogu wraz ze szkołami objęli bazylianie, którzy

(*) Szczegółowy opis tego kościoła drukowany był w Pamiętniku religijno-moralnym za miesiąc październik 1854 r.

ubogiej młodzieży, uczącej się w szkołach jezuickich. Kościół wraz z konwiktem, oddany pod zarząd jezuitów, zostawał pod ich zwierzchnictwem do czasu kassaty zakonu, to jest do r. 1773. W tym czasie objęli go księży karmelici. W r. 1809 kościół ten zgo-

tłem Erazma Smotryckiego i Kiryła Lukara, który później został patriarchą konstantynopolitańskim. Szkoły te wraz z drukarnią mieściły się w obwodzie ostrogskiego zamku, w tak zwanym dolnym zamku, w miejscu gdzie dziś powiatowa szkoła. A. K.

Franciszek Bieliński.

(Dalszy ciąg.)

Trzymał stronę Augusta IIIgo, ale mu Sasi nie dowierzali: więzili go nawet, równie jak i brata Michała, cześnika koronnego. Ledwie w lipcu 1734 ujrzał się od nich wolnym, zaraz i brata uwolnił na porękę (Gabinet medalów t. III str. 205—206). Pomimo to król go odwiedził osobiście w Otwocku w początkach r. 1736, co podwoiło gorliwość Bielińskiego dla sprawy saskiej. Podnosi głos na radzie generalnej konfederackiej za laski Ponińskiego (22 marca), potem na sejmie pacyfikacyjnym. Starostwa malborskiego ustąpił wtenczas Michałowi Lud. Rexinowi (r. 1736, Gazety Polskie).

Był na sejmach w r. 1738 i 1740 (Teki Podoskiego t. IV str. 385 i 574). Po pierwszym złożył podskarbstwo przez list do króla (17 grudnia 1738, Kurjer Polski Nr. 105). Na ostatnim, kiedy marszałka pierwszego dnia obrano, cieszył się przedwczesnie Bieliński, że „staropolskie obyczaje, powagi praw uszanowanie, porządek sejmów do swojej przychodzą porządku.“ Dlatego radził, ażeby wrócić się do statutów Zygmunta Starego i na sejmikach, na wszelkich publicznych zjazdach, obierać czy posłów, czy deputatów, czy urzędników przez większość. Na sejm radził wносить tylko takie projekta, „przeciwko którym nie będzie żadnej opozycji,“ a gdyby znalazła się, ma sejm dalej w obradach swoich postępować wolnym biegiem. Tak liberum veto tylko do sejmów ograniczał Bieliński, a jednak i sejmów rwać mu nie dozwalał. Niechaj jednogłośnie, kiedy już tak wypadło, stają prawa, ale niechaj nie tamują ogólnego prawodawstwa. Była to reforma na wewnątrz, i bardzo ważna. Co do stosunków z sąsiadami, chciał Bieliński, żeby rzplta utrzymywała stałych rezydentów czy posłów przynajmniej w Rzymie, u cesarza, u Porty i w Moskwie. Większy ztąd uszczerbek, że tych poselstw niema, jak wydatek rzpltej. Sędziowie pograniczni także od stron sąsiedzkich potrzebni. Z ministrem berlińskim powinnaby rzplta przynajmniej wejść w konferencye. Co do wojska, potrzebę jego pomnożenia wszyscy uznają, ale bez podatków na nie rady. Bieliński czekał tylko wniosków z izby poselskiej, zgodzić się na wszystko „zawsze gotowy,“ co będzie z korzyścią i chwałą narodu. Wymawiał tylko sobie, żeby czopowe, czy szelągne, każdy podatek który sejm uchwali, był bez przeciążenia ziemi, „co samo utrzymywać będzie ludzi, nietylko na Ukrainę i Wołoszczyznę, ale i za inne granice uchodzących.“ Przy powiększeniu wojska, radził Bieliński i podniesienie płacy, szczególnie dla narodowego zaciągu. Zaciąg ten narodowy granice rzpltej rozszerzył, a królowi dla jego męstwa, spokojnie na tronie zasypiali. Ochotniejsza będzie serce, pilniejsza służba, większa moc karności. Postępując dalej w materii, radził Bieliński, aby znieść brzydki zwyczaj sprzedawania regimentów i niższych stopni wojskowych, oberlejtantstw i majorostw. Szkaradny to był zwyczaj, a wszędzie, do wszystkich stosunków się wciągał. Sprzedawano królewskie wojsko, chleb zasłużonych; sprzedawano i urzędy wojskowe, do sprawowania których potrzeba było osobistej dzielności. Zasłużonym się stopnie należały. W stosunku z naprawą wojska, potrzeba podnieść fortece, zamki i cekhaury, które tyle bronią żołnierzy, ile żołnierze bronią kraje. Wszystkie te reformy prowadzą za sobą ostatnią. Trzeba kraj osiedlać, handel wspierać, wprowadzać fabryki, jednem słowem trzeba podnosić miasta. Skóry, wełny, lny, woski, konopie, papier tanio sprzedajemy, żeby je przerobione później drogo odkupować. W tym celu powinnością jest cło generalne postanowić, a prywatne zniszczyć. Na towary któreby z Polski w naturze wychodziły miały, trzeba cło wyższe postanowić, na towary przerobione u nas, niższe. Nastąpi prędkiej obieg monety, której stopę potrzeba zrównać z obcemi. Będą rzemieślnicy bogatsi i podatki pewniejsze. (Stypułkowski w naszych zbiorach).

Jest to, jak widzimy, cały plan mniej więcej obmyślanej reformy. Tyle ich było w owych czasach! Bieliński siedł tutaj za popędem epoki i kreslił na papierze plany, jak inni, żeby się potem w niwecz rozwiewały.

W r. 1742 Mniszech marszałek w. kor. przesiadał się na kasztelanią krakowską i Bieliński miał po nim wziąć urząd. Pojechał na radę senatu do Wschowy w maju (Kur. Pol. Nr. 284). Stanęły tam układy pomiędzy panami. Mniszech stary swojego syna utrzymał przy łasce nadwornej. Bieliński wielki marszałek wręczał ją młodemu swemu następcy, który niedługo został ziemiem Bryła. (Swada T. I str. 393—403, nominacja Bielińskiego 21 maja, Sygillaty 26, 137).

Urząd marszałkowski pochlebił niezmiernie próżności Bielińskiego. Wziął się do pracy, mianowicie w War-

szawie, w której teraz był gospodarzem. Tylko do Otwocka przejeżdżał się czasami, a ciągle mieszkał w stolicy. Kiedy nie było króla, jeden Bieliński wyłącznie panował w Warszawie. Jeżeli mu oddać się gdzie przyszło na czas dłuższy, tęsknił do swojego miasta. Wyjechał raz do Drezna, dla ważnego powodu, bo dla wesela królowej, i oparł się aż w Paryżu, ale powrócił na drugie wesele do Drezna. Ta podróż najdłuższą trwała, całe pół roku (od grudnia 1746 do lipca 1747 r.).

Był to pan niezmiernie surowego oblicza. Wszystko przed nim drżało w Warszawie i w okolicy, dosyć powiedzieć, że nawet i panowie. Żadnego złamania prawa nie przepuścił, a złamaniem prawa była pierwsza lepsza burda w mieście stołecznym, w rezydencji króla, pod boki marszałka. Wyroki śmierci, uwięzienia, łatwo podpisywał i byle za co, aby tylko był pozór. Niczego nie darował, nie przebaczył, bo nie miał nawet żadnego poczucia miłości chrześcijańskiej: była to wcielona sprawiedliwość, bez miłosierdzia. Człowiek dziki, odludek, dumny był bez granic, upartym jak rzadko. Spyszniał do szczytu, doczekawszy się laski wielkiej. Wtedy wszystko było małe przed nim, przed jego urzędem. Trybunał, senator, hetman, nuncyusz, sam nawet papież, wszyscy mu miejsca ustąpić byli powinni. Dlatego nieraz uporem swoim i dzikością wzniecał rozterki w rzpltej. Ściągał zato na siebie kilka razy upomnienia dworu, ale i tak nie ustępował, bo nie miał tyle politycznego rozumu, żeby pojął czasami potrzebę załagodzenia sprawy. Panią Poniatowską, wojewodzinę mazowiecką, matkę króla, nazywano wtedy gradową chmurą, że wiecznie była surowa i ponura. Taką gradową chmurą płci męskiej w owym czasie był marszałek Bieliński. Kiedy głowy ścinał, kiedy do żywej krwi dokuczał biędnemu szlachcicowi, który mu przypadkiem wstąpił w drogę, wtedy był najszczęśliwszy, a coraz więcej ponury. Wierzył w siebie, że dobrze robił i dla szczęścia rzpltej. Rodzaj feudalnego średnich wieków barona, rzucał tylko przestrasz. Kiedy się w pewnym oddaleniu wieków przyglądamy takim postaciom historycznym, coś od nich odpycha; ludzie ci do XVIII tylko wieku w Polsce pasowali. Z takimi ludźmi niema osobistego bezpieczeństwa i wolności. Ocalił go jedynie urząd. Gdyby nie władza marszałkowska, na której mógł zadosyć uczynić swojej gorącej sprawiedliwości, kroku tylko potrzebował, a byłby z niego drugi starosta kaniowski, Żaba, albo Tomasz Czapski. Buława wybujała za tych czasów saskich i ostatecznie stanęła jako udzielny filar rzpltej. Takim filarem Bieliński i marszałkostwo postawił. Pan samowładny, robił co chciał dla utrzymania wolności. Wtedy wolnością polską było i samowładztwo ministrów. Bieliński robił łaskę komu, jeżeli na niego spojrział.

Człowiek miaki, drobiazgowy, miał upór, ale nie charakter. Dlatego zręczniejszym od siebie dawał się nieraz użyć za narzędzie, a mianowicie osobom dworskim. Nie brał się zręcznie do niczego, lecz wstępny bojem i obrażając. Zaczepiał wtedy ludzi niewinnych i nieraz wstydzili się musiał swojej napaści.

Po największej części Bieliński wojował z ludźmi, z którymi łasce marszałkowskiej nie warto było robić wiele zachodu, bo tylko na śmiech się wystawiała. Tłumaczy się jego surowość, dla której Kazimir Poniatowski z Tarłą długo nie chcieli pojedynkować się pod Warszawą; ale nie tłumaczy się, kiedy na balu u marszałka goście przed nim drżeli; ale nie tłumaczy nie wojny ze studentami, którzy raz odbili z pod straży dawnego swego towarzysza, oskarżonego o zabójstwo, dokonane jednak w obronie własnej. Marszałek rozgniewany kazał studentów szukać, łapać w domach, na ulicach, gdzie tylko któregoś żołnierza marszałkowskiego przydybać mogli, a schwytyanych „serdecznie w kordegardzie ćwiczył,“ tak iż przez kilkanaście dni żaden z roslejszych studentów nie śmiał się pokazać na mieście. Jedni pouciekali z Warszawy do innych szkół, drudzy zaparli się że byli studentami, inni wcale naukę porzucili. Bieliński nie przestał na tym i za najmniejszą odtań sposobnością porywając studentów, niezmiernie ich upokorzył. Było komu i kogo! (Kitowicz, Opis obyczajów, wydanie Wolffa t. I str. 53).

Towarzysz ów oskarżony o zabójstwo, uciekł do klasztoru dominikańskiego. Marszałek otoczył klasztor i kościół żołnierzem. Oparli się zakonnicy i wydać zbiega nie chcieli, na zasadzie, że nie winien zabójca który się broni. Trzymał ich marszałek kilka dni w obłężeniu, a tymczasem nalegał na nuncyusza, żeby użył swojej powagi i zmusił dominikanów do ustąpienia. Nuncyusz zdał tę rzecz na teologów klasztornych, ze wszystkich kościółów w Warszawie. Zgodzili się oni na jedno, że bez urazy kanonów świętych, wydawać nie można zbiega, a nuncyusz wyrok ich potwier-

dził. Marszałek rad nierad wartę ściągnął z przed klasztoru, a zakonnicy, przestroiwszy oskarżonego w habit, wywieźli go z Warszawy. Ale Bielińskiego wyroki nie mogły być martwą głosem. Rozpisał listy do grodów. W lat cztery, kiedy zbieg sądził, że sam czas uspokoił zawziętość marszałka, przyszedł do grodu zakroczymskiego, dla zrobienia jakiejś tranzakcji z bracią swęj żony. Pojmano go i odwieziono do Warszawy. Tu stracił głowę, będąc dawniej już na śmierć osądzony. (Dalszy ciąg nastąpi).

HERAKLESOWE DROGI.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Dokończenie).

Leon już nie słyszał słów ojca, w oczach mu się cmiło, w głowie czuł szum i zamęt niesłychany, w pierśiach ściśnienie dziwne.

— Jutro, jutro będziemy mówić o tym ojcie, dziś jestem mocno cierpiący....

— Zasląbl chłopak od radości. O znam, znam, auch ich war einmal jung, mówił stary i pogłaskawszy syna, odszedł do swego pokoju.

Leon chwycił za pióro i jednym tchem prawie napisał: „Pani! Długo bawiłem się kosztem twojej córki; dziś widzę że zadaleko zabrnąłem w komedii. Cofam się i proszę was, darujcie mi to żem chciał kłamać przed wami uczucia, których we mnie nie było. Tą karteczką żegnam was i proszę o zapomnienie. Leon.

Zawołał na służącego i rzekł:

— Ten list dziś jeszcze odnieś do pani G.

Skończyłem z niemi, szepnął po odejściu służącego i chciał powstać, ale już przedmioty poczęły mu majacząc w oczach, zciemniało mu w koło i nieprzytomny upadł na ziemię. Był to początek ciężkiej choroby Leona. Zachorował na zapalenie mózgu.

W miesiąc potem odbył się u Panny Maryi ślub Juliana z Anielą.

VI.

Szczęście małżeńskie.

Choroba Leona była ciężka i niebezpieczna. Dwa tygodnie leżał nieprzytomny całkiem, nie poznając nikogo. Doktorzy już prawie żadnej nie robili nadziei. Przecież po dwóch tygodniach czuł się chory trochę lepiej i z każdym dniem przychodził do siebie; to uzdrowienie jednak szło bardzo powoli, i lada wzruszenie, lada sztuknięcie pogorszało stan jego. Już był o tyle lepiej, że mógł usiąść na łóżku, gdy ojciec, chcąc go zabawić i rozerwać, począł mu opowiadać różne ciekawości, a między innymi o ślubie Anieli z Juliuszem. Leona twarz wychudłą oblał gorączkowy rumieniec, chwycił się ręką za głowę i upadł bez sił na poduszkę. Dwa dni całe był znowu bez przytomności. Potem miał się znowu lepiej; doktorzy nakazali, aby go przenieść na wieś. Właśnie pod te czasy hrabia N. znajdował się w Krakowie i dowiedziawszy się o ciężkiej chorobie Leona, pośpieszył do niego. Chory nie mógł jeszcze mówić, podaniem tylko ręki i łzą cichą przywitał starego przyjaciela.

— Leonie, dziecko kochane, mówił hrabia. Ja nie wiedziałem o twojej chorobie. Mnie się zdawało, że tobie ciężarem moją znajomości i dlatego nie pisujesz.

Hrabia wybrał się do Krakowa tylko na kilka dni, ale dla Leona został cały miesiąc, napisawszy poprzednio do wnuczki, aby się nie niepokoila jego nieobecnością. Kiedy Leon już mógł przechodzić się po pokoju, hrabia nalegał, aby pojechał z nim na wieś.

— Powietrze wiejskie i spokój, to lepsze lekarstwo niż te meły, któremi cię karmia doktorzy.

— I ja tak myślę—mówił Leon cicho—ale czuję że do tak długiej jazdy nie mam sił jeszcze.

— Już my urządzimy tak, abys nie czuł umęczenia.

Leon więc pojechał na wieś i znalazł tam dla siebie przygotowaną wszystko, co tylko troskliwość pomyśleć może. Okna pokoju jego wychodziły na ogród. Jedno okno zacięniała lipa od słońca, a przed drugim klomb kwiatów woniał. Z pęku kwiatów białe lilie wystreliły do góry, obok nich płomienily się różę, a niżej bratki i rezeda się czołgały. Gdy Leon już wytchnął po podróży, hrabia wszedł do jego pokoju i rzekł:

— No, mój Leonie, jest tu ktoś, coby się chciał z tobą przywitać.

— Zosia, prawda? spytał Leon z zajęciem.

— O, przepraszam, już nie Zosia, tylko panna Zofia, bo dziewczątka wyrosła i odmieniło się od tego czasu kiedyś ją widział. Tylko mi biędzka ciągle smutna. No, czekaj tu naszej wizyty. I wyszedł.

Leon z dziwną tęsknotą czekał na przyjscie Zofii; miał w duszy takie uczucie, jakie ma człowiek gdy

po burzach i troskach wraca do rodzinnej wioski i widzi ją zdaleka oświeconą zachodzącym słońcem.

Drzwi się otwarły i wszedł pan N., a za nim jego wnuczka. Leon zapatrzył się, prawie zagapił, i nie wiedział co powiedzieć na powitanie, bo to już nie była Zosienka, jak słusznie dziadek powiedział, tylko dziewczica piękna, poważna. Ale pięknych i poważnych panien dość jest na świecie; więc żeby wam pokazać jaką była Zosia, bliżej ją opiszę. Pomyslcie sobie białą alabastrową posąg i ubierzcie go w czarną suknię, jaką teraz miała Zosia na sobie, a będziecie mieli o niej wyobrażenie. Biała twarz Zofii była też tak lekko zarumieniona, jak gdy alabastrową lampę oświecisz ze środka. „A toż co znowu? Z Zofii nie zrobił kobiety, tylko jakiś posąg.”—powie niejeden czytelnik, (bo czytelniczki wątpię czy się rozniewają o takie porównanie). Prawda, przesadziłem może trochę, ale się nie poprawię. Nie mam jeszcze siwych włosów—młodemi oczami patrzę na świat, a szczególnie na kobiety; więc darujcie mi ten grzech młodości, zwłaszcza że chciałem wam opisać Zofię taką, jaką się wydała oczom Leona.

— Leon wyciągnął ku niej rękę na powitanie i uczuł lekkie drżenie jej dłoni. Potem usiedli ojciec i córka obok artysty.

— Nie widziałem jeszcze pani, rzekł Leon, a już czułem ją koło siebie.

— Jakto?

— Po kwiatach w ogrodzie. Tylko kobięca i młoda ręka umie tak starannie pielęgnować kwiaty.

— Pan lubi kwiaty?

— Bardzo.

— Ale panu może zapach ich szkodzi jeszcze....

— O, teraz już nie....

— Więc pan już teraz czuje się lepiej?....

— O, znacznie lepiej. Było jakiś czas bardzo źle....

— Ja tu bardzo niepokoiłem się o pana.... wtrąciła trwoźnie Zofia....

— Dziękuję, bardzo dziękuję.

— Leonie, teraz powinienes się szanować, rzekł pan N. Zbytek pracy był powodem tej choroby, jak mi doktor mówił— to źle....

Leon rozśmiał się lekko i rzekł z cicha:

— Ha, może i zbytek pracy, kiedy tak doktor mówił.

— Ale może wyjdiesz trochę do ogrodu?

— Owszem, spragniony jestem tego wiejskiego powietrza.

Hrabia podał mu ramię, Zofia rękę i wyprowadzili go do ogrodu pod lipę. Było to po południu; słońce z ukosa rzucało złote blaski, pszczoły brzęczały nad lipą.

— Jak tu dobrze, jak tu miło! mówił Leon.

W tej chwili pana N. odwołano do jakiegoś gospodarskiego zajęcia. Młodzi zostali sami.

— Panie Leonie— zagadnęła Zofia, patrząc mu w oczy łagodnie, pan mówił że nie praca była powodem pańskiej słabości. Czy ja mogę wiedzieć co takiego?

— Drasnęłaś mnie pani o tę strunę, której nie mogę tknąć bez bólu.

— Więc niechcę, niechcę!

— Owszem, teraz już muszę powiedzieć. Pierwszy raz będę o tem mówił, może mi źle będzie. Siostrze powiedzieć trzeba, wszak mogę panią tak nazwać?

— Tak, tak— mówiła pomieszana Zofia.

Tu Leon zaczął jej opowiadać całą historią swego serca, piękniej i dokładniej, niż ja wam opowiedziałem, a kiedy skończył, Zofia miała łzy w oczach.

— Pan bardzo cierpieć musi.

— Teraz już mniej, czas wiele może, on i trumny zaciera w naszej pamięci.

W tej chwili nadszedł pan N. i przerwał im rozmowę.

Nazajutrz rano jeszcze Leon nie przetrwał oczów ze snu, gdy do pokoju jego weszła służąca i przyniosła w ładnych wazonikach dwa bukiety.

— A to kto kazał?

— To panienka, proszę pana.

Leon czuł się dziwnie uszczęśliwionym tą pamięcią Zofii.

— Podziękuj słicznie pani odemnie.

— Proszę pana, i ja też panu mam za co podziękować.

— Jakto?

— A, bo proszę pana, i panienka nasza teraz jakoś różniejsza, kiedy pan przyjechał.

— Zdaje ci się, moja kochana.

— Eh, gdzie tam zdaje. Panienka musi pana bardzo lubić, bo dziś dała mi pieniądze i kazała zanieść je na mszę świętą, a jak się jej spytałam na jaką intencją, to powiedziała: o zdrowie i o spokój.

Leon po odejściu służącej długo myślał nad jej słowami, długo patrzył na bukiet.

Nie będę was nudził opisem tych szczęśliwych dni, jakie Leon przepędzał na wsi. I Leon i ja dużybyśmy mieli o tem gadać, ale was to mało obchodzi. Rzuciłem wam wątek, a wy przedźcie go dalej. Macie pannę ładną, dobrą, młodego mężczyznę z niezagojonem sercem, pogadanki pod lipami, pociechy wzajemne, czasem dziękczynne uściśnienie, łzę, westchnienie, czasem słówko niebaczone, zdradzające głęboko ukryte myśli i uczucia; do tego kwiaty, niebo, wieś, spokój, lipowe aleje. Złóżcie to, a narodzi wam się oświadczenie miłosne, potem serdeczna radość ojca i jego błogosławieństwo, dalej ślub, dwie ręce związane stułą, zapach mirtu ślubnego, łzy panny młodej przy ołtarzu i t. d.

Młodzi małżonkowie postanowili całe lato przepędzić na wsi, a na zimę przenieść się na stare mieszkanie do Krakowa.

Przypatrzmy im się po ślubie; ślub bowiem, to niekiedy granica wielkich ostateczności, które często wyglądają jak sen i przebudzenie. Śnią się nieraz dukaty, zastawione stoły, a przebudzenie bywa głośnie i kieszeń pusta.

Była to niedziela. Państwo S. wrócili właśnie z kościoła i przed obiadem wyszli pod lipy.

— Duszko, czy ty nie słabą byłaś przypadkiem w kościele?

— Nie, Leonku, owszem, bardzo szczęśliwą byłam. Modliłam się, żebyś nigdy nie pożałował tego, żeś dla mnie wyrzekł się tamtej.

— Zosiu, rzekł z wyrzutem Leon, wierzaj mi, że nigdy nie czułem się szczęśliwszym jak teraz. Tamto uczucie było gorączką, co mi paliła duszę, głowę, a to daje mi spokój i szczęście. Tamto było szumnym fajferkiem duszy, a to jest jak cicha gwiazda, co się wieki pali i nie gaśnie. I mówiąc to, pocałował ją w rękę, a potem w czoło, chciał jeszcze i w usta, ale wszedł służący i przyniósł z poczty gazety i list.

— Od kogo to, kochanie? spytała Zofia.

— Od Juliusza. Jestem ciekawy, co pisze....

Przebiegł szybko list oczami, potem westchnął i cicho rzekł:

— Poeta!

— Cóż on tam tak poetycznego pisze?

— Masz, czytaj aniolku.

List Juliusza był taki:

„Kochany Leonie!

Z odepchniętą przez ciebie przyjaźnią narzucam ci się dziś znowu. Nie odrzając mnie, czuję że mi ciebie potrzeba, teraz bardziej niż kiedy, bom osłabł na duchu. Twoje szlachetne postąpienie ze mną zachwiało we mnie wiele myśli i zdań, o których myślałem, że jak kolumny podpierają moją duszę. Zwaliłeś je, Samsonie, olbrzymią siłą swęj zacości; czuję całą małość moję w obec ciebie. Przez ciebie i dla ciebie nauczyłem się szanować demokratyczne zasady, choć na nie w zupełności zgodzić się nie mogę. Postępowanie naszych panów w ostatnich czasach przyczyniło się niemało do tej zmiany duchowej. „Odstępców“ spaliłem.

„W domowym pożyciu jestem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy; przecież czuję, że z mojem usposobieniem nie powinienem się być zenić. Są chwile, w których piękna Aniela zawadza mi: radbym ją kochać, ale z daleka. Zaraz ci się z tego wytłumaczę. Wszystko co powstało pięknego, powstało z niezadowolenia i tęsknoty. Świątynią gotycką otoczył się człowiek średnich wieków i odgraniczył od świata, który go nie zadowalał, i z tęsknotą podniósł ku niebu wierzycę. Malarstwo i rzeźba są jeszcze jaśniejszym tego dowodem. Gdyby człowiek czuł zadowolenie z żywych posągów, krajobrazów, albowy nie rzeźbił i nie malował, albowy naśladował ślepo naturę. Więc tylko tęskniąc za czemś czego niema, można tworzyć. Tęskniąc bardziej w poezji. Szczęście w niej ma najmniej słów, bo na wyrażenie szczęścia i radości mamy tylko wykrzykniki; a przeciwnie, ileż to wyrazów, zmian, zwrotów na inne tony uczucia! Do tego poezya, potrzebując najmniej techniki, potrzebuje najwięcej skupienia ducha, by była głęboką, wielką. Do skupienia się zaś w sobie potrzeba samotności, potrzeba zerwania z tem wszystkiem, co człowiekowi daje pewność szczęścia, co mu usypia ducha. Patrz! Mickiewicz pisał Dziady, gdy był sam. Kochanowski płakał za Urszulą słicznymi trenami, gdy jej już nie było w ścianach czarnońskich. Nie idzie za tem, abym i ja miał tworzyć arcydzieła; ale przecież pisać chciałbym, bo mi bez poezyi źle, sucho, pusto, szaro. A tu pisać trudno, bom nadto szczęśliwy, nadto życiem codziennem rozerwany; wśród tego szumu świata nie słyszę własnego ducha, a taki stan męczy. Do tego jeszcze inna myśl wytrąca mi pióro z ręki.

Nieraz chciałbym skupić ducha, napisać coś większego; ale gdy pomyślę, że z natężonych myśli narodzi się znowu niedołyżny płód, lub choć udatny będzie, że go czytać będą po kawiarniach, po dobrym obiedzie, dla strawności i spędzenia czasu,— to z obrzydzeniem odrzucam pióro. Powieź mi, kto teraz czyta poezye i gdzie? Młode panny, studenci i literaci, by mieli z czego recenzje pisać, a reszta chyba przypadkiem lub z nudów. Nie mówię tu o swoich utworach, ale w ogóle o poezji. Patrząc na to wierzę, że czas poezyi minął. Jedyny jaki został jej ułamek, to dramaty, komedya. Autor ma tu przynajmniej tę pociechę, że kilkaset ludzi go słucha z zajęciem (jeżeli sztuka dobra), i to słucha w chwili, kiedy każdy najmniej jest zwierzęciem, a najwięcej poetą, bo wieczorem. Gdybym miał odrobinę zdolności do dramatu, rzuciłbym się do niego.

„Daruj zem się tak rozpisal; chciałem roztworzyć ci szeroko drzwi serca, co tak długo przed tobą były zamknięte, i tą szczerością uprosić sobie przebaczenie i przyjaźń twoję. Napisz do mnie wkrótce, a napisz o sobie bardzo wiele. Z tą prośbą żegnam cię i całuję.

Twój zawsze

Julek.“

Zofia, przeczytawszy list, spojrzła czule na męża i zapytała:

— A mój pan, czy takie samo ma wyobrażenie o sztuce? czy ja mu także zawadzam?

— Moja duszko, ja nie poeta, a do tego nie poeta z chorobliwem usposobieniem, jak Julek. Żałuję go; rzuca się i szamocze z swoim duchem, jak orzeł w klatce, a największy grzech jego życia, to że więcej w nim fantazy niż serca. Spowszedniała mu Aniela, i brak tej miłości chce przed sobą wyrozumować i wytłumaczyć sztuką. Tymczasem skala uczuć jest tak rozległa, że na niej i miłość żony i miłość sztuki i miłość bliźnich z łatwością się pomieści. Ale co mnie najbardziej smuci, to dopisek na kraju listu. Pisze mi, że z oddaniem listu się spóźnił, bo mu pisanie przerwała choroba kilkodzienna. Choroba to piersiowa, a Julek tak wątko zbudowany, że się zaczynam bać o niego. Pójdę mu niezwłocznie odpisać i doniosę, że najdalej za miesiąc będziemy już w Krakowie. Czy zgadzasz się na to kochanie?

— Wszak ty chcesz, to dosyć dla mnie, rzekła słodko Zofia i oczami odprowadzała odchodzącego Leona.

Inne było pożycie Juliusza z Anielą. Ona w zbliżeniu się do artysty rozczarowała się trochę, zobaczyła wiele niedostatków w jego duszy; do tego zatrudnienia gospodyni domu znacznie ostudziły poetyczną jej duszę. Jego choroba i usposobienie zrobiły drażliwym, opryskliwym nawet. Przypatrzmy się im z blizka.

Piątą godzinę wygłosił maryacki zegar. Juliusz siedzi przy stoliku i pisze, Aniela czyta gazety. Cicho w pokoju, słychać tylko skrzyp pióra po papierze i szelest przewracanej gazety, a czasem kaszel targający piersi poety.

— Sliczna mowa! rzekła Aniela. Chcesz, przeczytam ci ją.

— A daj mi pokój, już mi kością w gardle ta polityka. Mowy i nowiny, nowiny i mowy, i pół dnia trzeba zmarnować na to, aby nazajutrz dowiedzieć się, że nowiny były mylne, że mowy nie odniosły skutku. Kto gazety wymyślił, ten powinien zostać bogiem niepróżnujących próżniaków. Proszę cię Anielciu, lepiej zagraj mi co.

Aniela położyła gazetę i siadła do fortepianu. Wzięła kilka potężnych, wspaniałych akordów i poczęła betowenowską sonatę.

— O nie tę, nie tę! Te niemieckie kompozycje, zagmatwane i ciemne jak tury gotyckie, męczą, a ja chciałbym odetchnąć.

Aniela zagrała szopenowskiego mazurka, jednego z tych co płaczą i śmieją się razem. Juliusz słuchał z zajęciem i puszczał gęstą kłęby dymu, paląc cygaro.

— Dziękuję ci Anielko. Ale czas nam iść do teatru. Trochę z gorączką czekam na dzisiejsze przedstawienie; ciekawym jak mi się spodoba mój dramat.— Tu Julek zakasłał się mocno. Żona nie uważała na ten kaszel, który za każdą razą ceglastym rumieńcem pokrywał twarz Juliusza. On czuł tę nieuwagę żony i bolało go to, ale milczał.

Teatr był już pełny gdy weszli— wiele ócz się na nich zwróciło. Julek czuł jakieś febryczne drżenie, zmieszanie się chwilowe; ale pokrył je spokojem, przyłożył lornetę do oczów i począł przeglądać łożę. Nagle wzrok jego zatrzymał się na jednej łoży. Siedziała w niej Andzia z mężem i ogniste swe oczy kierowała prosto w jego łożę. Zapewne przypominać so-

bie owę Andzię, studencką miłość Juliusza. Nieraz on potem tęsknił za tą poranną miłością, nieraz marzył o niej; ale te chwilowe tęsknoty, niepokrzepione słowem wzajemności, konały znowu. Dziś uczuł się pod czarem dawniej miłości. Andzia przypomniła mu najpiękniejsze chwile jego życia, pełne złudzeń, nadziei, i mocno zabiło mu serce. Do nich weszła ciotka Anieli; usunął jej się w głąb' łoża i wlepił oczy w Andzię. Dziwna rzecz: po tylu latach ona wcale się nie zmieniła; była piękna jak dawniej, tylko mniej figlarną, a więcej ponętą. Andzia od czasu do czasu patrzyła w jego łożę, nie wiedział czy na niego, czy na Aniele. Chciał wierzyć że na niego patrzyła, i Aniela szarżała mu w oczach. Czemu? on sobie to różnie tłumaczył. My krótko powiemy przyczynę: oto Aniela już była jego, a Andzia już nie dla niego. Zakazany owoc zwykle powabniejszy.

Podniesiono kurtynę. Juliusz skierował na scenę oczy. Przedstawiano jego pierwszą dramatyczną próbę: „Żbigniewa.“ Ze wzruszeniem patrzył na scenę, ale pierwszy akt odstraszył go już od niej.

On cieszył się na Żbigniewa, spodziewał się że ten

charakter zrobi wrażenie i zajmie, bo go naszkicował z siłą; gdy tymczasem ujrzał na scenie w roli Żbigniewa jakiegoś aktora hałasującego, deklamującego bez pojęcia rzeczy. Nie mógł dłużej znosić tej męki, wyszedł z łoża, bo było mu tam za duszno, za gorąco. Wyleciał na miasto i długo chodził po ulicach.

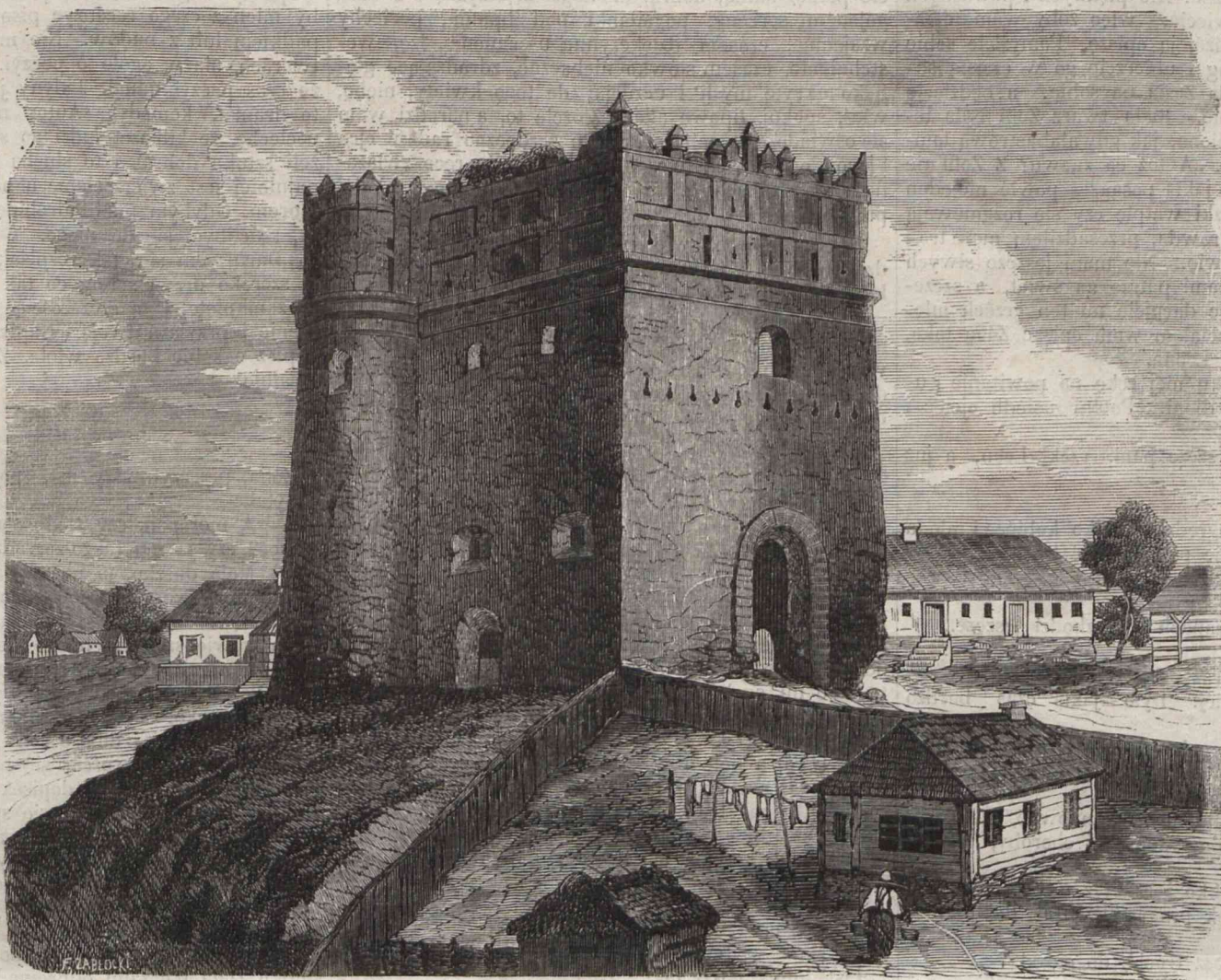
go, bo już głośno mówić nie mógł, i trzymając go za rękę szeptał:

— Jak ty Leonie pracą ducha doszedłeś do tych wielkich prawd, które ja teraz dopiero rozumie! W chwili blizkiej śmierci, jakże skarłały w moich oczach herby, tytuły, rody!

w obec trumien to wszystko takie blade, takie nic; a był czas kiedy inaczej myślał. Daruj mi ten grzech, Leonie.

Odпочzął chwilę, potem znowu się odezwał:

— Podaj mi Matkę Boską ze ściany, chcę ją jeszcze ucałować. Dziwna rzecz, Leonie, że taki obrazek tak nam nastroja ducha, bardziej niż arcydzieło. Czemu mierny obrazek zawieszony w bramie tyle modlitw ludzkich się nasłuchał, tyle łez otarł, a przed mistrzowskiemi obrazami Rafaelów, Tycyanów tylko Anglomany ze szkiełkiem stawają? Więc sztuka uluda tylko, bez celu? Nieraz tak mi się zdaje; ale przecież całe życie poświęciłem dla tej sztuki, bo każdy człowiek tak by rad zostawić coś po sobie, co by go przeżyło. Leonie! jak straszno, jak wiele boleści — żyć na świecie bez sławy, umierać bez wieści. O! krzywo poszło moje życie i nic, nic po sobie nie zostawię!



ZAMEK W OSTROGU N. 5.

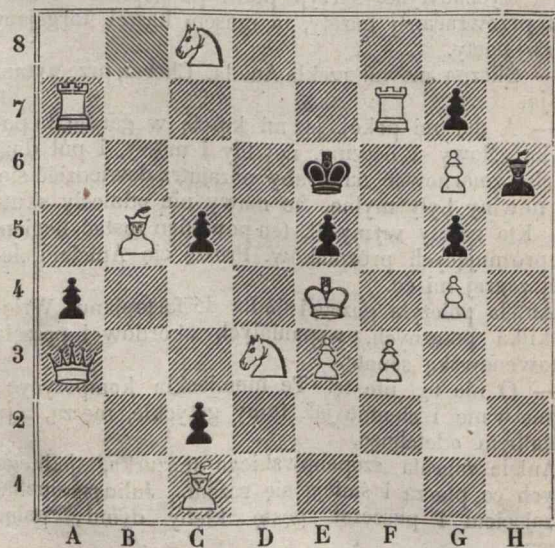
SZACHY.

ZADANIE CXLIX.

(S. M. z Płońska).

Białe zaczynają i zmuszają czarne do dania sobie (białym) mata za szóstym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 148.

Białe.

Czarne.

- | | | |
|---------------------|-------------------|-------|
| 1) B 5—E 2 † . . . | 1) C 3—E 2 biorą | } (*) |
| 2) A 5—G 5 † . . . | 2) E 4—G 5 biorą | |
| 3) H 7—F 6 † . . . | 3) G 4—H 4. | |
| 4) F 4—H 3 † . . . | 4) G 5—H 3 biorą. | |
| 5) G 4—F 3 † i mat. | | |

(*) Gdyby król czarny, w pierwszych dwóch posunięciach, cofnął się na H 4, dostałby zaraz mata od królowej z F 1 na H 3.

Wiatr był chłodny, powietrze wilgotne. Niezadługo słabowity Juliusz uczuł wpływ takiego powietrza: kaszel i gorączka się zwiększyły. Poszedł do domu i położył się w łóżko.

— Czemu ty tak nagle wyszedłeś z teatru? spytała go Aniela, wróciwszy do domu.

— Słaby jestem trochę.

— Szkoda żeś nie był do końca, publiczność gęstymi oklaskami obsypała sztukę i wołała autora.

— Publiczność nie wybredza, rzekł Juliusz.

— Ale wiesz co Julku, ciotka moja przywiozła mi list od matki. Matka wybiera się z wizytą do swych krewnych na Podole i życzyłaby sobie jechać ze mną. Czy nie będziesz miał co przeciw temu?

— Jedź, rzekł krótko Juliusz, a gdy Aniela odeszła do swego pokoju, on mówił do siebie:

— Nie, ona teraz nie odjedzie, onaby nie mogła odjechać mnie chorego.

Inaczej się jednak stało. Aniela, czy nie uważała choroby Juliana, czy mniemała ją chwilową i małą, nazajutrz wyjechała z ciotką do matki. Zmartwienie i zgryzota powiększyły chorobę, i gdy Leon przyjechał do Krakowa, już zastał Juliusza mocno zmienionym.

— A gdzie żona twoja? spytał Leon.

— Pojechała do matki, rzekł cierpko Juliusz.

— Ależ niepodobna, chyba nie wie o tém, żeś ty tak chory. Napiszę do niej.

— Niechcę tego, rzekł z mocą Juliusz. Ja o miłość prosić się nie będę. Ta kobieta nie kocha mnie i wątpię czy kiedy kochała, bo nawet tego uczuć nie może, że nie kocha. O, zawiodłem się boleśnie.

Rzekł i począł płakać jak dziecko. Odtąd Leon nie odstępował prawie chorego. Julian czuł całą pocziwość przyjaciela, całą jego przyjaźń; to też nieraz jak o łaskę prosił, by mu pozwolił swoje ręce ucałować.

— Ty bracie, ty przyjacielu, ty ojciec mój—mówił do niego ze łzami.

Choroba szła szybkim krokiem, chory niszczał widocznie i słabł na siłach. Jednego dnia zażądał księdza. Po spowiedzi prosił Leona, by usiadł blisko nie-

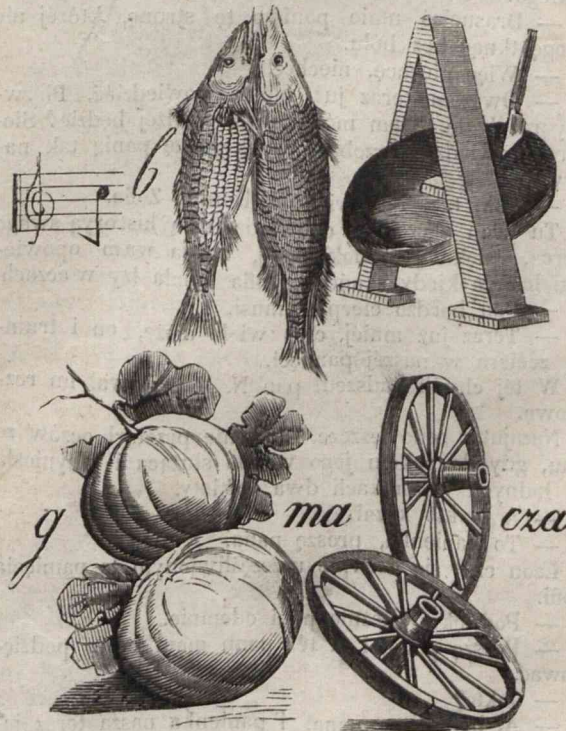
— A pamięć we mnie?

— Bóg ci zapłać, Leonie, że mi dajesz to, o co najmniej starałem się w życiu.

W trzy dni potem Leon modlił się na cmentarzu za duszę Juliusza.

KONIEC.

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 183.
Strach ma duże oczy.